

JAUME CABRÉ

Spaleni w ogniu

Przełożyła z języka katalońskiego

ANNA SAWICKA

MARGINESY

Consumits pel foc

COPYRIGHT © Jaume Cabré

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Sawicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023

I co z tego?

Zvi Katz

...ist dies etwa der Tod?

[Czy to jest coś w rodzaju śmierci?]

Rahn z Bawarii

A może wcześniej powiedział to

Joseph von Eichendorff?

Dla Margaridy

INCIPIIT

Na pewno kiedyś nocą widzieliście, jak ćma, obojętnie, mała czy duża, odruchowo kieruje się w stronę latarni przyciągana jej blaskiem. Ten biedny nocny motyl ma do wyboru: albo się oddali, zaintrygowany czymś, co zwróci jego uwagę, i ocali życie, albo się przybliży i zacznie krążyć wokół latarni, jak w amoku, na helikoidalnej trajektorii, im bliżej żarówki lub płomienia, tym szybciej, a kiedy już zanurzy się w tym świetle, natychmiast zginie spalony. Tak jakby złożył samego siebie w ofierze bogu ognia. Jeżeli światło pochodzi z żarówki albo jest za szkłem, ćma kieruje się do niego z takim entuzjazmem, że nie zastanawia się nad niebezpieczeństwem czy ofiarą. I zderza się z osobnikami tego samego gatunku, które wcześniej wpadły na podobny pomysł, a teraz orbitują, podeks-

cytowane, w kontredansie wokół latarni. Aż jakiś delikatny, pokojowo nastawiony gekon, który się przyczaił na ścianie tej latarni na mocy dawnych układów, niepodważalnych, otworzy pyszczek i połknie ćmę, którą zwabił sen o blasku latarni. Ten teren myśliwski za latarnią, przy ścianie, to prawdziwy fart, ale gekon musi się nim dzielić z trzema kolegami, którzy również odkryli korzyści polowania z zasadzki, pozwalającego oszczędzić sobie trudu kłopotliwego biegania po ścianach budynku i ryzyka, że apetyczne zwierzątko zdąży uciec. Jeżeli gekon ma szczęście, pod koniec sezonu podwoi wielkość i wagę. A ilość ciem, chwała Bogu, nie zmniejszyła się ani razu, aż dziw, skąd światło tyle ich wywabia. No dobrze: myślałem, że w tej historii, którą chcę wam opowiedzieć, jestem takim delikatnym, pokojowo nastawionym gekonem, a tymczasem okazuje się, że nie, że byłem szarym nocnym motylem oślepionym ową jasnością, nieświadomym wielu niebezpieczeństw, jakie czyhają w pobliżu latarni, i okrutną, śmiertelną skutecznością światła, nawet jeśli jego źródłem jest tylko skromna świeczka.

Tak, to jest moja historia. I historia innych też, tak. Aha, mówcie mi Ismael. Tak, nie przesłyszeliście się, Ismael, to nie pomyłka. Jak ten z Moby Dicka, tak. No dobrze... Wszyscy mnie z nim kojarzą, tak.

Ale nie mam z nim nic wspólnego, mogę przysiąc.
Chociaż wydaje mi się, że nie trzeba.

Ismael urodził się w najzimniejszym dniu roku. To była środa i nieliczni przechodnie, którzy znaleźli się na ulicy o ósmej wieczorem, myśleli tylko o tym, by jak najszybciej schronić się gdzieś pod dachem. W najzimniejszym dniu roku, a może całej dekady. Jego ojciec był flecistą w Orkiestrze Miejskiej i zawodowym kopistą partytur i nut dla różnych orkiestr. Ponoć Rampal zamówił u niego kopie pięćdziesięciu indywidualnych zapisów nutowych ze swojego najczęściej grywanego repertuaru, co pozwoliło im żyć przez jakiś czas na całkiem niezłym poziomie. Tak mówią, ale nikt nie mógłby przysiąc z ręką na Biblii. Kiedy Ismael skończył dziesięć lat, jego ojciec nadal był flecistą i kopistą. A pewnego dnia posadził go przed sobą i powiedział synu mój, musisz wiedzieć,

że urodziłeś się z zimna i że przez odczuwane zimno twoja biedna matka, a moja małżonka zachorowała na zapalenie płuc, które niemal nam ją zabrało do nieba. Z twojej winy.

– Ależ, tato... Nie miałem o niczym pojęcia.

– Nie trzeba mieć pojęcia – powiedział ojciec tym przemądrzałym tonem, który pozwalał mu czuć się kimś ważnym – żeby ponosić odpowiedzialność za nieszczęście innych.

Chłopiec przez chwilę się zastanawiał, ze łzami w oczach, i myślał tak intensywnie, że słychać było zgrzytanie śrubek w mózgu. I w końcu powiedział przecież mama nie umarła z zimna, tato.

– Pod tym względem masz rację: nie umarła z zimna. Ale na zimno cierpiała.

– A ja miałem dziewięć lat, kiedy umarła.

– Dziewięć?

– To było w ubiegłym roku.

– W ubiegłym roku?

– Tak.

– Nieważne, ale odkąd się urodziłeś, stała się taka delikatna, że śmierć była tylko kwestią czasu. I zapamiętaj sobie, że to twoja wina.

Dziesięcioletni chłopiec nie umie ocenić, czy jego ojciec aby nie zwariował. Jedyne, co czuł, to smutek. Więc się rozplakał. A wtedy ojciec zaczął go strofo-

wać, tak, właśnie tylko tego brakowało, żebyś mi się tu rozbeczał. Co na to powie twoja sąsiadeczka?

– Niech mówi, co chce.

To nie była prawda: spaliłby się ze wstydu, gdyby Leo zobaczyła czy usłyszała, jak on płacze.

Po tej rozmowie w życiu rodzinnym wiele się wydarzyło. Minęło parę miesięcy, parę lat i pewnego dnia ojciec dokonał samookaleczenia palca wskazującego prawej ręki, co uniemożliwiło grę na flecie, a nawet przepisywanie partytur, i oświadczył lekarzowi, że zrobił to, ponieważ robotę miał głęboko w dupie i teraz chciałby odpocząć. A nawet mimochodem insynuował, że wszystkiemu winien jest jego syn, który nie usunął z domu noży. Zanim go umieszczono w domu wariatów, sprawdzono, czy odzyskałby równowagę ducha, wykonując jakąś inną pracę. I pewna mądra głowa wpadła na pomysł, że praca na stacji benzynowej, dzięki temu, że nie wymaga myślenia, to najlepszy sposób na odzyskanie równowagi. A pewnego dnia, kiedy Ismael odkrył zaintrygowany pojawianie się owłosienia na całym ciele i utratę kontroli nad głosem – to ostatnie bardzo go zmartwiło ze względu na Leo, z każdym dniem coraz piękniejszej, bo bał się, że usłyszy, jak mówi dyszkantem – zdecydował się pójść na stację; ojciec kończył właśnie obsługiwać sfatygowanego, spragnionego paliwa

forda; pochłonięty tą pracą trzymał jeszcze wąż w ręce, kiedy zauważył syna; wzruszył ramionami, a ponieważ chłopiec się nie odzywał, sam zapytał, co, u diabła, tu robi, zamiast siedzieć w szkole.

– To nie była moja wina.

– O czym ty do mnie mówisz?

– O śmierci matki. I o wypadku z twoim palcem.

– No, ja wcale nie powiedziałem, że...

– Właśnie że tak mówisz. Jesteś do mnie uprzedzony.

– Ej, spieprzaj stąd.

– Jak sobie życzysz – powiedział chłopiec, ale nie ruszył się z miejsca.

– Aha, niby że taki z ciebie mądrała.

– Tato...

– Wracaj do szkoły, bo cię obleję benzyną. Zobaczysz, jak będziesz spieprzał.

– Tato...

Ojciec wycelował w niego wąż i puścił strumień benzyny na syna, a ten schował się za lśniącem strombergiem wjeżdżającym w tym momencie na stację. Ismael uciekł, nie oglądając się za siebie, i przez cały dzień błąkał się po mieście, pochlipując, a kiedy późnym wieczorem wrócił do domu, zastał tam jakąś panią, bardzo miłą; zapytała go, czy ma

na imię Ismael, odpowiedział, że tak. A na to ona chodzi o to, że twój ojciec...

– Co mu się stało?

– Musieliśmy go zabrać do szpitala.

– On jest szalony. Szalony jak zając wiosną.

– Nie mów tak o nim. On jest chory.

– Chory na szaleństwo. Chciał mnie spalić żywcem.

– Wiemy o tym. Teraz jest na leczeniu, a ty i ja musimy porozmawiać.

– O czym?

– Co mamy z tobą zrobić. O tym musimy...

– Co pani chce powiedzieć?

– Słuchaj, chłopcze... Nie możesz mieszkać sam.

– Od dwóch lat kupuję jedzenie i codziennie gotuję.

– Skąd bierzesz pieniądze?

– Ojciec wkłada je do słoika po cukrze.

– No więc zabierzemy cię do miejsca, gdzie wszystko dostaniesz gotowe.

– Nie chcę iść do więzienia. To mój ojciec jest wariatem.

– Nie, nie, skarbie... – Miła pani roześmiała się. – Nie do więzienia. Będziesz mieszkał z trzema chłopcami i z opiekunem.

– Nie ma mowy, proszę pani.

Tej samej nocy został przedstawiony trzem niezainteresowanym nim współmieszkańcom i wychowawcy. Jestem Alex. Jasne?

W pokoju, do którego go przydzielono, stały dwa łóżka. Drugie zajmował jeden z tych nowych obojętnych kolegów; miał na imię Simó i jak Ismael wynioskował z obserwacji, spędzał cały dzień na czytaniu, i wydaje się, że minęła dobra godzina, zanim się zorientował, że kogoś mu dokwaterowali.

– Cześć – powtórzył Ismael po raz trzeci. Wtedy Simó podniósł wzrok znad książki i wpatrywał się w niego bez słowa nieskończenie długą chwilę. Po tym sprawdzianie włożył zakładkę, zamknął książkę i odpowiedział mu cześć.

Następnego dnia Simó poinformował go, że jego rodzice są w więzieniu pod fałszywymi zarzutami. A tobie co się stało?

– Mama nie żyje. Umarła z zimna. Dawno temu.

– O cholera. A twój ojciec?

*

Po paru dniach osvajania się z rutyną podwieczorów po szkole, kiedy wszyscy udawali, że odrabiają lekcje, Ismael zapytał Simóna, dlaczego tyle czyta.

– Bo lubię.

– On daje przykład, z którego wszyscy moglibyście czerpać, nie sądzicie? – wtrącił się wychowawca, który właśnie rozpakowywał torby z jedzeniem na pół tygodnia.

– E, to nudne – odezwał się blondynek, prawie albinos, o którym chodziły słuchy, że został przyłapany na nielegalnej grze w pokera. Problem w tym, że żaden z mieszkańców nie wiedział, z jakiego konkretnie powodu inni koledzy znaleźli się w mieszkaniu Alexa. Wszyscy odpowiadali wymijająco i przestawali zadawać pytania, kiedy sobie uświadamiali, że nie było przyjemnie na nie odpowiadać.

Dwa tygodnie później Ismael miał już za sobą lekturę książki, którą mu pożyczył Simó, i tak jakby to stanowiło rytuał przejścia, dał się zaprowadzić Simónowi i Alexowi do dzielnicowej biblioteki. Simó wskazał mu miejsce, gdzie stał gruby tom, otworzył na pierwszej stronie i przytknął palec do pierwszej linijki.

– To początek powieści. Przeczytaj głośno.

– „Imię moje: Izmael” – przeczytał Ismael. I przerwał przestraszony. Alex dyskretnie uśmiechnął się z satysfakcją, a Simó zapytał, czy mogą wypożyczyć książkę do domu.

Jakim cudem Ismael znalazł się w tym mieszkaniu, gdzie prawie nikt się nie kłócił i skąd wszyscy chcieli odejść, ale bez pośpiechu, bo życie w domu

rodzinnym, jeżeli jeszcze coś z niego zostało, było drogą niemal samobójczą? Przez przypadek.

To prawda, że Ismael przeczytał pierwszą stronę powieści ze trzydzieści razy. Ale nie potrafił doczytać książki do końca, co to, to nie; nie wydaje ci się, że to strasznie nudne, tyle dziwnych rzeczy na żaglowcu, nic tylko morze i morze, i...

– Nie przejmuj się. Nie masz obowiązku przeczytania całej książki. Czytaj do końca jedynie tę, która na to zasługuje.

– Chcesz powiedzieć, że Moby Dick to zła książka?

– Nie. Chcę powiedzieć, że nie jesteś jeszcze na nią gotowy...

– A ty niby kim jesteś, żeby mi mówić, że nie jestem gotowy?

– Dobrze, dobrze. Jak sobie chcesz.

I Simó skoncentrował się na lekturze książki nie tak grubej jak ta Ismaela. A Ismael potrzebował paru dni, żeby spuścić z tonu, poprosić Alexa o zgodę na wyjście do biblioteki i wymienić książkę na inną, tylko żeby nie była taka gruba, proszę pani. I przekonał się, że lepiej się nie kłócić z Simónem; nie miał pojęcia, czemu ten zrównoważony chłopiec trafił do mieszkania dla dzieci wykolejeńców. To znaczy wiedział: jego rodzice siedzieli w więzieniu pod fałszywymi zarzutami.

– Simó? – zagadnął Ismael kolegę któregoś wiosennego dżdżystego popołudnia.

– Mhm – mruknął tamten, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Co to za fałszywe zarzuty?

– Że co?

– Tak, stary. Dlaczego twoi rodzice...

Simó zamknął książkę, bez zakładki, wstał i uderzył go pięścią w nos, z którego potem przez kilka godzin sączyła się krew, mimo waty i wody utlenionej. Ten jeden cios nauczył Ismaela, jak ważne w życiu jest milczenie. Ani ofiara, ani napastnik, ani Alex, ani pozostali koledzy nie widzieli powodu, żeby ten incydent dotarł do władz odpowiedzialnych za ochronę dzieci, bo Ismael zasłużył sobie przez własną głupotę. A dzieckiem też już nie był, od kiedy miał całe ciało owłosione.

Gdy zdał maturę, zorientował się, że mieszkanie Alexa było wyjątkiem. Że szczęście w życiu nie polegało na tym, że dostał się na studia, tylko że mógł trafić do mieszkania, gdzie obowiązywały inne zasady. Pożegnali go koledzy inni niż ci, których tu zastał pięć lat temu, bo czas mija dla wszystkich, poza Alexem, który nie miał jeszcze ani jednego siwego włosa. Zanim Ismael rozpoczął studia, poszedł odwieść ojca.